

## Ministerstwo samotności

Obawiam się, że samotność współczesnego człowieka Zachodu nie jest błędem, ale skutkiem istniejącego porządku. To raczej wynik, niż patologiczna mutacja indywidualistycznej antropologii, raczej efekt niż manowce liberalnej polityki i kultury – pisze Dariusz Karłowicz w felietonie na łamach tygodnika „Sieci”.

Decyzją premier Teresy May w Wielkiej Brytanii powołano ministerstwo ds. zwalczania samotności. Według raportu opublikowanego w ubiegłym roku przez komisję badającą skalę tego problemu aż 9 mln Brytyjczyków (14%) czuje się samotnymi „często lub zawsze”, 5 milionów dorosłych nie ma bliskich przyjaciół, a 200 tysięcy ludzi starszych nie rozmawiało z nikim w ciągu ostatniego miesiąca. Sprawa nie jest nowa. Już 2014 roku brytyjski urząd statystyczny ostrzegął, że WB zasługuje na niechlubne miano „europejskiej stolicy samotności”. Oczywiście zjawisko nie dotyczy wyłącznie wysp. Jeśli zaufać podawanym przez Forbesa szacunkom od lat 80. liczba osób cierpiących na samotność w USA wzrosła ponad dwukrotnie. Zbierając wyniki rozmaitych badań widać, że choroba zerwanych więzi toczy również Francję, Niemcy czy kraje skandynawskie. Czy mamy do czynienia z epidemią? Jaka jest jej natura i przyczyna? Dlaczego wybuchła właśnie teraz? Czy można ją zwalczać?

*Cicely Saunders, założycielka  
ruchu hospicyjnego, oparła się  
na przekonaniu, że to  
samotność stanowi zasadnicze  
źródło cierpień terminalnie  
chorych i umierających*

Łatwo śmiać się z  
idei ministerstwa,  
które – co tu kryć –  
spontanicznie  
kojarzy się z  
Ministerstwem  
Dziwnych Kroków ze  
sławnego skeczu  
Monty Pythona –

trudniej zignorować rosnący dramat samotności. Samotność - i nie mówię tu o stanie przejściowym czy dobrowolnym, ale o izolacji niechcianej i trwałej - to niewątpliwie jedna z najtrudniejszych sytuacji w jakich znaleźć się może człowiek. Wielu powie, że najtrudniejsza. Cicely Saunders, założycielka ruchu hospicyjnego, oparła się na przekonaniu, że to właśnie samotność – bardziej nawet niż ból fizyczny – stanowi zasadnicze źródło cierpień terminalnie chorych i umierających. Praktyka hospicjów domowych pozwala wierzyć, że towarzyszenie, obecność bliskiego człowieka okazuje się lekarstwem, którego nie potrafi zapewnić najnowocześniejsza nawet farmakologia. Bez drugiego człowieka po ludzku nie można ani umrzeć ani żyć. Tego braku niepodobna znieczulić. Nie bez przyczyny izolacja, więzienie, wygnanie należą do najbardziej dotkliwych kar jakie wymyśliła niezwykle pomysłowa pod tym względem ludzkość. I co? Czy tak wyglądałby kres nowoczesnego społeczeństwa dobrobytu? Tym dla blisko 15 procent z nas byłyby zdobycze rewolucyjnych zmian kulturowych ostatnich dekad? Odpowiednikiem więziennej izolacji?

Ważnym bodźcem działania brytyjskiego rządu są rosnące koszty obecnego stanu rzeczy. Wpływ samotności na stan zdrowia porównywany bywa do skutków życia w nędzy, nałogowego palenia

papierosów, a nawet chorób nowotworowych. Dane są nieubłagane – liczne choroby, przedwczesna śmierć, to skutki rejestrowane już na poziomie statystyki. A przecież choroby to nie jedyny skutek samotności, która nie wybiera wyłącznie ludzi starszych, ale – jak pokazują badania - dotyka również dzieci, matek, opiekunów, ludzi niepełnosprawnych, imigrantów, nie pomijając tych, którzy pozostają w stałych związkach. Straty łatwe do przeliczenia na konkretne budżety to nie wszystko. Drugą, społeczną stroną tego zjawiska jest nieobecność ludzi samotnych. A mówimy o blisko 15% populacji. Czy to nie rodzaj samookaleczenia?

*Konieczny jest kopernikański zwrot. Powrót do pytań o ludzką naturę, o jej polityczny charakter, o konsekwencje redukcji więzi do kategorii kontraktu*

Premier May ma niewątpliwie rację kiedy mówi, że samotność stanowi „smutną rzeczywistość współczesnego świata”. Czy wyciągnie z tego

właściwe wnioski? Wątpię. Styczniowa nominacja Tracey Crouch nie bez racji uchodzącej za przedstawicielkę progresywnego skrzydła partii Konserwatywnej karze powątpiewać w szansę na postawienie właściwej diagnozy przyczyn katastrofy. Wyjątkową naiwnością byłoby sądzić, że liberalno-demokratyczny porządek współczesnej polityki nie zakłada żadnej wizji ludzkiej natury i ludzkiego szczęścia. Żeby odpowiedzieć sobie na pytanie o źródła zjawiska samotności trzeba być zdolnym spojrzeć na te założenia krytycznie. Jeśli sprawa jest poważna – a nie wątpię, że tak jest w istocie – należy mieć odwagę zadać pytania podstawowe, nie obawiając się przy tym oskarżeń o herezję czy polityczną niepoprawność. Puder ministerialnego PR-u, czy pomysły na

niewątpliwie miłe socjalne eventy, organizowane przez władze, to zdecydowanie zbyt mało. Konieczny jest kopernikański zwrot. Powrót do pytań o ludzką naturę, o jej polityczny charakter, o konsekwencje redukcji więzi do kategorii kontraktu i o to wreszcie czy źródłem choroby nie jest koncepcja człowieka widzianego poza kontekstem rodziny, kultury, wspólnoty aksjologicznej, politycznej i religijnej.

Obawiam się, że samotność współczesnego człowieka Zachodu nie jest błędem, ale skutkiem istniejącego porządku. To raczej wynik, niż patologiczna mutacja indywidualistycznej antropologii, raczej efekt niż manowce liberalnej polityki i kultury. Dlatego – jak sądzę – nic możemy liczyć nawet na to, iż 15% cierpiących samotność, to rodzaj stałego kosztu życia w świecie, którego zasadami są samorealizacja, brak odpowiedzialności za bliskich i wspólnotę oraz praktyka wolności negatywnej. Jak długo porządek polityczny realizował będzie przyjęte założenia - procent ludzi samotnych będzie rósł i nie zmienią tego żadne ministerstwa. Aż do czasu poważnej korekty do każdego liberalno-demokratycznego państwa tworzącego program walki z samotnością stosować się będzie to, co o władzy mówił w czasach Peerelu Stefan Kisielewski, że, mianowicie: „bohatersko walczy z problemami nieznanymi w żadnym innym ustroju”.

Felieton ukazał się w tygodniku „Sieci” nr 20/2018